

Kultura rozrywkoru zamiast zapierdołu

10 października 2022

Grażyna Kulczyk, Tomasz Lis, Marcin Matczak – wszystkich tych ludzi łączy jedno. Uczestnictwo w tzw. kulturze zapierdołu. Przez lata, podobnie jak większość osób ze swojego pokolenia, byli jej wyznawcami. Część z nich dzisiaj się z tego wycofuje. Czasami powoli, jak Matczak, czasami szybciej, jak Tomasz Lis. Część z nich w niej trwa, jak Grażyna Kulczyk.

Po części trudno się im dziwić. Czasy, w których dorastali i mieli najbardziej żywotne siły twórcze przypadły na anomalię, jaką był przełom 1989 i 1990 roku. Czas ogromnych możliwości, bo gdy wali się jeden system, a dopiero powstaje drugi, to pojawia się moment, w którym naprawdę można się dorobić i naprawdę wskoczyć wysoko.

Problem w tym, że ówczesne pokolenie uznało anomalię roku 1989 za coś normalnego, czyli że inwestycja w czas pracy, podejmowane ryzyko i rezygnację z życia prywatnego, bardzo często szybko się zwraca.

Tymczasem współcześni młodzi ze swojego doświadczenia wiedzą, że zwrot z tej inwestycji jest niski, rzadki a czasami nie ma go w ogóle. Współcześnie młodzi żyją bowiem w globalnym, późnym kapitalizmie, gdzie, poza wyjątkami (biznes IT) role są już zawczasu rozdane, podczas gdy ich rodzice żyli w czasach budowy lokalnego kapitalizmu, gdzie o szybką karierę było o wiele łatwiej. Często wystarczyło tylko znać dobrze angielski.

Stąd młodzi już nie tylko gardzą kulturą zapierdołu i mają ją za oszustwo. Coraz częściej słychać także w mediach o tzw. „quite quitting”, to jest o postawie nieangażowania się w pracę, wypełniania minimum i tylko tego, co jest w obowiązkach pracy. Żadnej inicjatyw, robimy to, co musimy, praca to tylko smutny obowiązek. Prawdziwe życie to czas prywatny.

Obecny trend odkładania pracy na drugi plan przez młode osoby z jednej strony ma swoje źródło w poczuciu oszustwa kapitalistycznej obietnicy nagrody za ostry zapierdół w pracy, a z drugiej, o czym mało się mówi, w niskim bezrobociu. Praca, jeśli nie ta to inna, po prostu jest, zwłaszcza jeśli to nie jest praca wymagająca jakichś niszowych umiejętności. Nie tu będę kelnerem, sprzedawcą, nie tu będę klepała Excela, to zrobię to gdzieś indziej.

To, co jednak jest dodatkową motywacją, by pracę ograniczać do minimum, to gwałtowny rozwój atrakcji życia prywatnego. Gdy porównamy organizację pracy w ciągu ostatnich lat, to zmieniło się niewiele. W pracy fizycznej doszło pewnie trochę mniej zawodnych narzędzi, w pracy biurowej szybsze komputery. No i nikt nie używa już faxu.

Tymczasem w życiu prywatnym miała miejsce istna rewolucja. Przykładowo dziś niemal cała muzyka jest na platformach streamingowych w cenie dawnej, jednej płyty. Podobnie z kinem, filmami czy serialami. Jeśli dodamy do tego całą infrastrukturę sportową (ścieżki rowerowe, orliki, siłownie i kluby fitness) oraz przede wszystkim networking poprzez social media, to się okazuje, że życie prywatne w ciągu ostatnich dekad oferuje o wiele więcej atrakcji niż pensja życia zawodowego.

Po prostu nasi rodzice i dziadkowie mieli o wiele mniej pokus, czego symbolem jest zanik tego słynnego wysiadywania w oknach (nie tylko) starszych pań. Kiedyś, zwłaszcza samotni, wracając do domu gapili się w puste ściany, względnie miało kilka programów telewizji i książkę.

Dziś nie wychodząc z telefonu mogą nawiązywać relacje sieciowe z każdym, plus non stop kuszeni są kolejnym, relatywnie tanim uczestnictwem w rozrywce. O ile jednak odejście od kultury zapierdołu wyjdzie psychicznie wszystkim na dobre, o tyle ogromna atrakcyjność kapitalizmu rozrywkowego i ciągła presja uczestnictwa w kolejnych zdarzeniach popkultury sprawić może,

że z jednej zależności popadnie się w drugą. A kapitalizm, to co straci na krótszym czasie pracy, odrobi z nawiązką na kulturowych aspiracjach czasu wolnego.

Autorstwo: Galopujący Major

Źródło: Trybuna.info